

Dodatek bezpłatny do Nru 205.

GŁOSU NARODU

Kraków, dnia 29 lipca 1905.

Podania o Białorusi.

Jasnowłosa, obrośnięta, pogańska głowa białoruskiego chłopa, z twarzą podobną do jego szarych nieruchomych wód, z oczyma zamglonemi, z głosem jednostajnym, sennym, wyłaniala się jednokrotnie z pośród kart naszej literatury. Już Beniowski, wędrując z Pamfilusem po litewskich puszczach, prowadził znią dyskurs mitologiczny, bo w głowie tej, jak w ostatniej niedostępnej reducie, wśród błot, jezior, moczarów, i nieprzebytych lasów ukrytej, burzami historyi również prawie że nietkniętej, schroniły się i usadowiły stare bogi pogańskie: Kolada jadący »we sto koni«, Łada maja, Kupajło, Jaszczur, Spieszki-Sparyszki, Jaździerki, innych już pomniejszych, jak, Licha, Biedy i tym podobnych nieliczące. Ze świętymi i z czartami katolickiego kościoła żyją ci niechrzczeni niebianie w dobrej komitywie, co jest przecież całkiem naturalne skoro sam Bóg, chodząc tak często piechotą po ziemi białorusina, z ludźmi się po drodze i z demonami spotyka. Ztąd ciągle w oczach ludu tego cudu i dziwy, z których niektóre przytaczamy poniżej. Za źródło posłuży nam dzieło dwutomowe p. Michała Federowskiego, wydane w Krakowie nakładem Akademii Umiejętności — pod tytułem: Lud Białoruski na Rusi litewskiej. Praca ta, zakreślona na tomów dziesięć, jest jedną z najznakomitszych prac w dziedzinie ludoznawstwa — i służyć może za wzór pod względem opanowania i opracowania olbrzymiego wprost materyału.

Tekst zachowuje wiernie język ludowy białorusina, oddany abecadłem łacińskiem, co znacznie ułatwia czytanie.

Posłuchajmyż, co się oto przydarzyło staremu dziadkowi. Przyszedł on do gospodarza i prosi o nocleg. Dobrze. Gospodarz, że miał dwie chaty, nową i starą, tak powiada mu: idź do starej chaty, połóż się i śpij.

Poszedł dziad, legł za piecem, aż tu czuje, że ktoś wszedł i ogień uczynił. Patrzy — dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Jeden stareńki, siwieńki, to był sam Pan Bóg, drugi krzynę młodszy, to święty Jerzy, a kobieta to Najświętsza Panna.

Święte osoby poczynają rozmowę.

— No i co tu teraz począć? — mówi Pan Bóg — tyle się narodu namnożyło, że już rychło i chleba i ziemi nie stanie. Ja myślę, Panienko, trzeba będzie ognia i potopu, by ludzi umniejszyć na tym świecie.

A święty Jerzy na to: Nie tak Panie, nie rób tak, bo taki jęk będzie na ziemi, że aż nas w niebie zamroczy.

Dopieroż Matka Najświętsza: Ja wam doradzę. Niech ludzie starzy i bardziej leciwi, umierają a często gęsto, to i umniejszy się sporo tego narodu.

Wtem Pan Bóg rzucił okiem za piec, dojrzał dziada i pyta go:

— Dziadu! czyś ty czuł, co my sobie mówili?

— Nie, nic nie słyszałem! — wypiera się dziad.

— Otwórz rękę — mówi Pan Bóg — co u ciebie na dłoni?

— Nic niema, Panie.

Otworzył dziad rękę, a tu srebrny rubel na dłoni. Pan Bóg wziął i plunął mu w rękę — tak jemu tę rękę zaraz pokręciło.

A Bóg do dziada: Chodź teraz po świecie, pokazuj swoją rękę i opowiadaj, coś tu słyszał.

Tu znikły święte osoby, a dziad chodzi dotąd z temi rękami.

Bóg białorusina lubi rozmawiać z dziadami. Starzy ślepcy, dziś jeszcze przez chłopców na sznurku wodzeni, utrzymują, że Bóg dawniej sam żebrał i im kazał. Jest on nawet podobnie grzeszny jak ludzie, można się z Nim także prawować.

Był sobie na ten przykład człowiek biedny, szedł raz drogą, aż tu leży kawałek chleba i kawał kiełbasy. Podniósł i idzie dalej a duma, z kimby się tu podzielić. Wtem nadszedł starego dziadka.

— Człowiecze! — mówi dziad.

— Czego?

— Niema u ciebie czego do zjedzenia?

— A ty kto?

— Ja Bóg!

— Mam, ale tobie nie dam: bo Ty jednemu dajesz za dużo, a drugiemu za mało!

— Idzie dalej — aż tu śmierć na drodze.

— Człowiecze! — tak mówi śmierć do niego.

— Czego?

— Niema u ciebie co na ząb?

— A ty kto?

— Ja, śmierć!

— Owszem, z tobą zakąszę, czemu nie, bo ty i dobrego i złego i bogatego i ubogiego jednako bierzesz.

Zadziwiający jest zmysł moralny, jaki przenika podania i powieści Białorusina. Mają one wzgląd nawet na czarta, rad przypisują mu dobre przymioty, a z drugiej strony składają dowody bardzo wysokiego poczucia świętości. Jedną z najsubtelniejszych pod tym względem jest opowieść następująca:

Nie tak dawno temu człowiek jeden ofiarował się zejść na kolanach do Rzymu. Szedł, szedł, że aż ciało z kolan pozłaziło, tylko jedne kości świeciły. Kiedy już był blisko Rzymu, tak same dzwony zadzwoniły. Papież wyszedł z procesyą spotkać duszę zbawioną, a płaczki z okolicy zbiegły się nad pokutnikiem, i wołały: cierp! cierp! cierp!

A on na to: Dokądże ja mam cierpieć — już dość się nacierpiałem!

Jak on to powiedział, tak w ten moment dzwony przestały dzwonić, ptaszki odleciały precz, a on się podział niewiadomo gdzie.

Szczególnie surowo pociąga Białorusin do odpowiedzialności grzechy przeciw obyczajności, a zwłaszcza wówczas, gdy je popełniają klasy wyższe. Wychodzi on ściśle z zasady, że komu więcej dano, od tego więcej żądano.

Rok temu, koło Grodna — opowiada Józef Szycko od Mścikowa — jeden bogaty pan rozlubił się w młodej dziewczynie — »i jeny tam zahreszyli«. W czas jakiś opamiętał się ten pan i mówi do siebie: niema rady, trzeba iść do świętego Rzymu i wyspowiadać się. Tak i zrobił. Idzie on sobie, idzie, aż w ciemnym lesie zastąpiły mu drogę rozbójniki. Pytają: dokąd idziesz? Do Rzymu. Po co? Tak i tak.

Jeden zbój mówi na to, puścić, drugi powiada: nie, zabić. A trzeci na to: stójcie bracia, to on taką tylko rzecz zrobił i idzie do Rzymu, a cóż ja, com tylu ludzi zabił?. Pójdę i ja.

I poszli oba. Jak poszli tak i doszli. Po spowiedzi ksiądz mówi do nich tak:

Idźcie do kościoła, jeden stanie po prawej stronie ołtarza, a drugi po lewej i uważajcie.

Stanęli i stoją; aż po niejakim czasie pan zapytuje rozbójnika:

— Czy ty stoisz na ziemi?

— Stoję, a ty?

— Ja (mówi pan) zapadłem po kostki.

Postawszy chwilę, znowu pan pyta.

Stoję — mówi rozbójnik — a ty?

— Ja zapadam po kolana i nie mogę się wydobyć.

I tak zapadał się pan coraz dalej, po ręce, aż nareszcie całkiem zapadł się pod ziemię! A rozbójnik jak stoi tak stoi Wszedł ksiądz do kościoła i powiada: Zostałeś się, to idźże z Bogiem i nie grzesz więcej — a tamten został przeklęty.

Do „Pana« czart ma przystęp łatwiejszy, bo panowie czytają książki zabronione, wiadomo. Przekonał się o tem jeden kucharz. Trzeba mu było pietruszki, poszedł do pana, ale pana w pokoju nie było, tylko książka le-

żała na stole. Wziął kucharz za książkę i czyta. A wtem wyskakuje czart i pyta:

— Czego chcesz?

— Pietruszki!...

Czart jak począł walić przez komin pietruszkę, tak całą kuchnię zawalił.

Raz znowu ksiądz spotkał się z czartem. Djabeł chciał go skusić na bogactwo i podał mu książeczkę swoją, by się do niej wpisał ze swoją duszą. Ksiądz wziął książeczkę, zapisał: »Jezus Marya« i oddał ją czartu. Spojrzał szatan do książki — i w tejże chwili jak nie trzaśnie książką o ziemię, jak nie zawyje, nie wyskoczy do góry, to aż się most zawalił — bo rzecz działa się na moście. (Dyabeł najnajchętniej siedzi pod mostem)

Ksiądz zabrał »książeczkę« i czyta. Patrzy — a tu mnogo znakomitych panów pozapisywało swoją duszę! Dopieroż z nimi w układy — i powykreślał.

Całe szczęście w tem, że czart choć mocny i chytry, jest jednak zarazem durnowaty. Jest to, jak wiadomo, ogólna o nim opinja. Posłuchajmy tylko, co opowiada Maćwiejczuk od Szydłowic.

Strzelec jeden zabił łosia, wyciął kawał na pieczeń, rozłożył ogień w lesie i piecze łosia na rożnie. Aż tu ni stąd ni z owąd wyskakuje czart.

— Jak się nazywasz? — pyta on strzelca?

— Ja? sam sobie. A ty?

— Ja czart!

Siada koło strzelca, wyjmuje żaby z za pazuchy i piecze jednę za drugą... same żaby.

Obmierzło to sztrzelcowi, odwrócił się i trzasnął dyabła pieczenią na odlew. Wywrócił się żabi kucharz, narobił wrzasku, aż się czarci pozlatywali.

Koniec przygody — odysseuszowy. Czego wrzeszczysz — pytają towarzysza, kto ci co zrobił?

— Sam sobie — skarży się czart. — Pieczenią — po łbie — sam sobie.

Czarci w śmiech. Naśmiali się w koło niego do rozpuku i rozlecieli. Strzelcowi nic się nie stało.

An »i czort sumienie maje« — i czart ma sumienie. Zwłaszcza Lucyper. Był sobie np. biedny człowiek, a przyszły czasy ciężkie tak, że nie miał przez trzy dni co do ust włożyć. Dostał wreszcie kawałek chleba, wziął w torbę płócienną i idzie w pole orać Przyszedł, położył torbę na kamieniu i orze. Przyleciał czart, utarzał chleb w piasku i porzucił. Człowiek podorawszy kawał do południa, idzie do chleba, patrzy, a tu kromka jego obrukana, z piaskiem zmieszana Zapłakał gorzko i poszedł orać, nie jedząc.

Tymczasem czart pobiegł do piekła do Lucypera i pochwalił się co zrobił.

Lucyper na to: Zły to uczynek — i czart powinien mieć sumienie! Za to, żeś go tak skrzywdził w ciężkiej biedzie, pójdzież do niego służyć za parobka.

I tak się stało. Poszedł czart, i służył chłopu, nawet z ochotą, aż go z biedy i kłopotów wyciągnął.

Lucyper walczy z Panem Bogiem, ale nadaremno. Pan Bóg mądrzejszy od niego.

Była sobie jedna kobieta Marta, ona chodziła często do piekła. Jednego razu Bóg pyta się jej co robi Lucyper. Marta mówi, że łańcuch robi. Pan Bóg na to: »zapytaj się go, nai kogo«.

Lucyper odpowiedział jej, że na Boga.

Przychodzi kobieta do Pana Boga i mów — tak a tak.

— Idź i powiedz Lucyperowi — tłumaczy jej Bóg — niech włoży ten łańcuch na swoją szyję; jak będzie dobry na niego, to będzie dobry i na Boga — tak mi niby powiedz. A jak on już włoży na szyję, to ty wymów prędko; Na wieki wieków amen! i plaśnij w ręce.

Ona tak i zrobiła. Od tej pory Lucyper jest na łańcuchu — a złe duchy piłują cały rok pilnikami, żeby go uwolnić. Pewnie by przepiłowali, ale jak na Wielkanoc ksiądz zaśpiewa: »Przez Twe Święte Zmartwychwstanie« — tak łańcuch znów się zrasta. I tak ciągle, co roku.

Nie każdemu też może wiadomo, że po świecie chodzi Niedziela. Tymczasem Michaś od Dworca wiózł ją niedawno z Baranowic. Jedzie on sobie w dzień powszedni, a tu bieży panienka cała w bieli i prosi się: człowieczku, podwieź mię. Wziął ją na bryczkę i jadą. Ujechali kawał i widzą dwa białe psy bieżące z daleka. Panienka wystraszona schowała się pod skórzany fartuch u bryki i prosi Michała: Człowieczku. nie mów tym sobakom, że mnie wieziesz.

Psy zrównały się z bryczką i pytają: Nie biegła tędy panienka w bieli?

On na to: Nie, nie biegła, nie widziałem takiej.

Psy minęły go i poszły w ciemny las. Wówczas panienka wstała i powiada tak:

— Dobrze żeś im nie powiedział, bo ja jestem Niedziela, jakbyś mię zdradził, to psy by mię rozerwały, i nigdy już nie byłoby u was Niedzieli, tylko zawsze dzień powszedni.

Zlazła z bryczki i zginęła.

A innym razem wydarzyło się coś jeszcze ciekawszego. Do jednej chaty zeszły się w sobotę „kądzielnice« i prządły do późna, a było już po północy, niedziela zaszła. Kiedy one tak przędzą i gawędzą, aż tu wchodzi osoba w srebro i złoto przybrana. Przystanela w środku, rozchyliła swą odzież i odkryła ciało. Pełno ran pokrywało je, gdzie spojrzeć było skłute, zrąbane, poszarpane, zbite. A osoba ta powiada tak: Spojrzyjcie na moje ciało! Widzicie moje rany, moją pokutę? Wszystko to wasza niedzielna robota, bo wy mnie Niedzielę nie szanujecie. I zginęła im z oczu, a one aż potrupiały ze strachu — i odtąd zawsze Niedzielę szanowały.

Nietylko Niedziela ma duszę i chodzi. Ogień również rozmawia, myśli, widzi. I sprzęt gospodarski żywy jest. Dzieża i łopata od chleba w Wielki Czwartek chodzą do spowiedzi do samego Boga.

(Dok. nast.)

Ilustracya nasza przedstawia pokład rosyjskiego pancernika »Oreł«, który podczas bitwy pod Czuszimą poddał się Japończykom. »Oreł« (13516 ton) został tak silnie uszkodzony ogniem działowym, że nie mógł manewrować. W kadłubie miał 40 dziur działa szybko strzelne, i wielka 12 calowa armata zostały zniszczone, a pokład rozerwany. Połowa załogi była zabita i raniona. Około skał Zianwurt, »Oreł« został otoczony przez eskadrę admirała Kamimury i poddał się razem z okrętami admirała Nebogatowa.

